



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: „PIRACI” CZYLI PRZYGODA POLAŃSKIEGO

Dwa lata temu, podczas gdańskiego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych, witano entuzjastycznie w kinie „Leningrad” Romana Polańskiego przed projekcją wyświetlanych na specjalnym pozakonkursowym pokazie – „Piratów”. Po projekcji – entuzjazm widowni był już mniejszy.

Ten, z ogromnym rozmachem inscenizatorskim, przy wielkim nakładzie kosztów i z udziałem renomowanych artystów zrealizowany, gigantyczny film-przygoda jakby nie sprostał oczekiwaniom publiczności.

A przecież „Piraci” zostali pomyślni nie tylko jako film przygodowy, ale także, jako komedia. I to komedia bardzo szeroko zakreślona: sięgająca od humoru intelektualnego po burleskę, i sennetowski slap-stick. A więc taka, która zdolna jest zadowolić zarówno wyrafinowanego, jak i tzw. „szerokiego” widza!

Niezwykłe perypetie bohaterów „Piratów” zwalistego, rubasznego korsarza, kapitana Reda, i jego podwładnego, drobnego, zwinnego, pełnego niezwykłych pomysłów, porucznika Malfilatre'a, zwanego Żabą - widzowie polscy odebrali chłodno.

Jak się zresztą okazało, film Polańskiego został podobnie odebrany (czy może raczej: nieodebrany?!) w wielu krajach świata. Mimo gigantycznej reklamy wcale nie podbił publiczności francuskiej. W Stanach Zjednoczonych - na które głównie liczyli realizatorzy i producent - frekwencja zaczęła się rozkręcać dopiero po dobrych kilku tygodniach obecności „Piratów” w tamtejszych kinach. Mało przychylnie potraktowała film krytyka. A i jurorzy znaczących światowych nagród i festiwali nie obdarzyli go nadmiernymi honorami. Francuskie „Cezary” 87 za scenografię dla Pierre'a Guffroya i za kostiumy dla Anthony Powella (całkowicie zasłużone!) to jednak było mało jak na film o tak wielkich ambicjach i tak bardzo oczekiwany.

Ostatecznie głównym bohaterem „Piratów” i największym ich osiągnięciem artystyczno-technicznym stał się... wspaniały, blisko siedemdziesięciometrowy galeon „Neptun” (wyposażony w najnowocześniejsze, ukryte głęboko pod pokładem urządzenia

nawigacyjne i silniki), replika XVII-wiecznego okrętu, na którego pokładzie rozgrywa się większość akcji. Ale... jeden galeon nie czyni wiosny.

Pyszny trójmasztowiec, niosący na swych pokładach sto dwadzieścia dział, a na rejach cztery i pół tysiąca metrów kwadratowych żagli, zacumowawszy na redzie portu w Cannes, stał się wprawdzie jedną z głównych atrakcji tamtejszego festiwalu. Tego jednak nie można było niestety powiedzieć o marnym filmie, który ów festiwal otwierał.

W ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat napisano dostatecznie dużo na temat zaangażowania reżysera, scenarzysty, scenografów, operatorów, aktorów i statystów w realizację „Piratów”. Zbyt wiele przeprowadzono rozmów i wywiadów na temat trudności piętrzących się przed reżyserem i całą ekipą przy tego rodzaju superprodukcji (w której brała udział, nawiasem mówiąc, wcale spora grupa polskich współtwórców: od autora zdjęć Witolda Sobocińskiego i reżysera II ekipy, Andrzeja Kostenki, po kaskaderów), aby teraz, kolejny raz, przytaczać te wszystkie fakty, dane oraz liczby, którymi starano się zilustrować precyzyjność filmowej maszyny produkcyjnej. Może natomiast warto zastanowić się, na ile właśnie precyzja i perfekcyjność „Piratów” zaważyły na dość miernym sukcesie artystycznym i kasowym filmu Polańskiego?

„Piraci” wymknęli z marzenia Romana Polańskiego. Ze zrodzonej jeszcze w latach chłopięcych wizji „pirackiej przygody”, wyniesionej po lekturze książek, których bohaterami byli kapitan Blood i kapitan Flint; z filmów, których bohaterami byli Douglas Fairbanks i Erol Flynn. Na jedno z pytań o „Piratów”, zadane przez dziennikarza podczas festiwalu w Cannes, reżyser odpowiedział szczerze. „Film reprezentuje kino, jakie kochałem, będąc chłopcem”.

Jako mężczyzna pięćdziesięcioletni Polański otrzymał szansę zrealizowania swoich marzeń chłopięcych. I to szansę, wyjątkową. Mógł zatem nie tylko opowiedzieć „własną” piracką historię. Mógł nie tylko odwołać się w niej, szermując zręcznie i obficie pastiszem, do licznych podobnych historii, którymi zachwycał się przed laty jako widz. Ale także - dzięki ogromnym możliwościom finansowym, jakimi dysponował - był zdolny do nadania swym niegdysiejszym marzeniom prawie zupełnie realnego, namacalnego kształtu.

Dlatego z taką precyzją, takim wkładem kosztów, z takim zaangażowaniem i z taką perfekcyjnością budował swój wojenny, wspaniały galeon który maże odbywać dalekomorskie podróże. Z podobnego względu kładł ogromny nacisk na odtworzenie każdego szczegółu w strojach aktorów, w ich fryzurach, sposobie zachowania się czy reagowania - żeby wszystko było tak jak w czasach prawdziwych korsarzy czy prawdziwych grandów hiszpańskich żyjących w siedemnastym wieku.

Perfekcyjność „Piratów” miała być oczywiście jednym z magnesów przyciągających uwagę milionowych potencjalnych widzów kinowych na całym świecie. Miały ich - nie mniej

od akcji dziejącej się na ekranie - oszołamiać sumy pieniędzy wydanych na realizację. Ale tak naprawdę to chyba Polański kręcił ten film przede wszystkim dla samego siebie.

Oglądając „Piratów” odnosi się nieodparte wrażenie, że do nakręcenia przedstawionych na ekranie scen wystarczyłyby doskonale makiety i zminiaturyzowane modele żaglowców. I także - przekonanie, że w tym gigantycznym, wielomiesięcznym happeningu, jakim był dla Polańskiego okres kręcenia zdjęć na pokładzie „Neptuna”, zagubiła się gdzieś sama opowieść o dzielnym kapitanie Redzie i poruczniku Żabie. A pozostała jedynie mozaika doskonale zaczętych, ale niedokończonych wątków; świetnie nakręconych poszczególnych scen; gubiących się gdzieś tropów fabuły...

„Piratów” ogląda się, szczególnie podczas wakacji, z zaciekawieniem. Ale i z uczuciem, że coś w nich zostało zagubione, niespełnione mimo najlepszych chęci.

Mawia się o takich dziełach, że zostały zbyt długo „przenoszone” przez twórcę.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 16, s. 14.